

Księga listów

Dzieła zebrane

Tom 5

komitet redakcyjny

Włodzimierz Bolecki

Jerzy Jarzębski

Małgorzata Kitowska-Łysiak

Stanisław Rosiek (przewodniczący)

**Bruno
Schulz**

Księga listów

zebrał i przygotował do druku
Jerzy Ficowski

uzupełnił
Stanisław Danecki

Jerzy Ficowski

Wprowadzenie do *Księgi listów*

do wydania z roku 2002

Obecna *Księga listów* Brunona Schulza jest drugim, zmienionym i poszerzonym wydaniem *Księgi*, która ukazała się przed dwudziestu siedmiu laty (Wydawnictwo Literackie, 1975)¹. Tym razem zawiera ona prócz tego, co znajdowało się w poprzedniej edycji, garść listów pisarza, których przed ćwierćwieczem jeszcze nie zdołałem odnaleźć, a także listy pisane przez różne osoby do Schulza, cudem odnalezione na jego doszczętnie obrabowanym strychu. Jest to zaledwie nikły szczątek niezmiernie obfitych zbiorów epistolograficznych, które bezpowrotnie zaginęły, a które Schulz pieczołowicie przez całe lata segregował i gromadził. Zachowana resztką nie daje o tej kolekcji wyobrażenia, ale przez sam fakt przetrwania jest szczególnie cenna jako niemal symboliczny ślad po masowej egzekucji ludzi i pamiątek po nich.

1 Wydanie trzecie, z drobnymi poprawkami w stosunku do wydania z 2002 roku, ukazało się w 2008 i zawierało ten sam korpus tekstów. Obecne – czwarte – wydanie zostało poszerzone o kilka nowych znalezisk, wymienionych w „Nocie od edytora” na końcu niniejszego tomu (przypis – S. D.).

Te listy, które udało mi się w ciągu sześćdziesięciu lat odnaleźć, stanowią nie tylko zbiór epistolarny, ale przede wszystkim cząstkową autobiografię pisarza, istotny przyczynek do jego życiorysu, którego liczne ślady zatarł czas, a świadkowie w ogromnej większości zginęli. Właściwie cała znana nam dziś biografia Brunona Schulza została zrekonstruowana z jego listów, z ułamkowych wspomnień tych, którzy go przeżyli, oraz z nielicznych dokumentów. Nawet tak elementarne dane jak data urodzin pisarza podawane były w różnych wersjach lub opatrywane znakiem zapytania.

Poza listami-podaniami do „wysokich urzędów” szkolnych i ministerialnych, którymi kończymy zbiór listów Schulza, niewiele stosunkowo znaleźć można w tych tekstach konkretów, spraw dnia powszedniego, biografii zewnętrznej – chyba że zabarwione są utyskiwaniem, skargą czy wołaniem o pomoc. Bo też życie Schulza w jedynie istotnej dlań sferze było ubogie w fakty, składało się przede wszystkim z wydarzeń wewnętrznych, perypetii duchowych, z twórczości traktowanej jako sens nadrzędny egzystencji i wyłączny cel dążeń, poza rzadko ujawnianą dziedziną Erosa. Reszta – to przeważnie codzienne niedogodności, zakłócające czas i możliwość tworzenia. Życie w swym praktycznym, codziennym wymiarze i znaczeniu bywało głównie przeszkodą, sprawcą obezwładniającej, uporczywej depresji i nękającej raz po raz niemocy twórczej artysty, który – jak ubóstwiany przezeń Rilke – umiał funkcjonować tylko w sztuce, poza nią bezradny i obcy konwencjom otaczającego go świata. Jeśli bez uczucia niechęci, a nawet z zainteresowaniem traktował pewne kontakty osobiste, jeśli poświęcał – nie zawsze, jak się zdaje, najszczerzej – swoją aprobującą uwagę tematom i problemom nie dotyczącym owej jedynej sprawy, która obchodziła go naprawdę, to najczęściej i przede wszystkim ze względu na ewentualny pożytek, jaki z takiego uczestnictwa mógłby płynąć dla jego własnej twórczości. Milczenie wobec doskwierających mu nadużyć naśladowczych

Truchanowskiego czy taniego, aczkolwiek szkodliwego dlań szalbierstwa Eggi van Haardt, a także nieszczerze, choć niebotyczne pochlebstwa, jakich nie szczędził poronionym wierszopisarским płodom profesora Szumana – wszystkie te uniki i pokłony służyć miały tej jednej, jedynej sprawie, której na imię Schulz... Był więc skrajnym egotystą i ultrapragmatykiem – z tym, że w swoich intencjach i zabiegach nigdy nie zmierzał do zapewnienia sobie jakichkolwiek innych korzyści, jak tylko tych, które – jak sądził – przysłużyć się mogły jego pisarstwu. Tak, był egotystą w imieniu sztuki, której służył, z którą łączył i utożsamiał wszystko, co w nim samym było wartością zabiegów i dokonań. Udowodnił to pod koniec zagrożonego życia, kiedy usiłował ratować swoje prace, nie siebie samego.

Wiernym obrazem, prawdopodobną egzemplifikacją tej postawy, tych w pewnym, nieuniknionym uproszczeniu wyłożonych tu zasad – są jego zachowane listy. Gdyby nie wojna i ludobójstwo, które nie oszczędziły ani pisarza, ani jego listów i manuskryptów literackich, jak również przytłaczającej większości adresatów tej korespondencji – z owej twórczości epistolarnej można by było zestawić wielotomowy zbiór o objętości nieporównanie większej niż jego ocalały dorobek twórczy, a swoją rangą nieustępujący niekiedy maestrii *Sklepów cynamonowych*. Niestety, dzieło zniszczenia jest w swej nieodwracalności trwalsze od arcydzieł i musimy poprzestać na stosunkowo nielicznych listach, które udało mi się odszukać i zgromadzić, nie wyrzekając się nadziei, że przyszłość odkryje coś jeszcze.

Zawierając opinii i wyznaniom samego Schulza, rozsianym w ocalałych listach, stwierdzić wypada, że najciekawszą, najświetniejszą twórczość epistolarną uprawiał on dawniej nieco, w prehistorii swego profesjonalnego pisarstwa, kiedy to list był dlań jedyną formą literackiego – czy paraliterackiego – przekazu. Wśród listów obecnych w naszej *Księdze* (a jest to c a ł o ś ć odnalezionej dotychczas korespondencji) są wprawdzie listy z lat dawniejszych,

ale większość z nich to pisma do instytucji, a i te nieliczne, skierowane do znajomych osób, nie reprezentują owego wcześniejszego stylu i rodzaju, za którym sam Schulz wzdychał później. Nie mamy więc nic z okresu tej legendarnej świetności epistolograficznej. Sam Schulz z perspektywy lat tak ją oceniał, pisząc w 1936 roku do swej przyjaciółki Romany Halpern: „Szkoda, że nie znaleźliśmy się przed paru laty. Wtedy umiałem jeszcze pisać piękne listy. Z moich listów powstały stopniowo *Sklepy cynam.* Te listy po największej części skierowane były do pani Debory Vogel autorki *Akacje kwitną*” (list nr 82). A po roku w liście do tej samej zaufanej adresatki wspomina: „Nie czułem wtedy żadnej odpowiedzialności na sobie, żadnego ciężaru, pisałem dla siebie. To bardzo ułatwia” (list nr 90). Podobne wyznanie znajdujemy w liście do krytyka literackiego Andrzeja Pleśniewicza: „Wyżywałem się kiedyś w pisaniu listów, była to wówczas jedyna moja twórczość. Szkoda, że nie możemy cofnąć naszej korespondencji do tamtych czasów. Teraz nie umiem już tak pisać [...]” (list nr 68).

Istotne to wyznanie: listy jako pierwotnie jedyna twórczość literacka. A i ta późniejsza, profesjonalna, narodziła się właśnie z komunikacji epistolarnej, przeznaczonej dla jednego czytelnika – adresata. Adresatami tymi – zanim Schulz wszedł w szranki literackie – byli początkowo przeważnie zasymilowani i asymilujący się Żydzi, rówieśnicy pisarza, często obyczajowo bardziej „polsko-galicijscy” niż „żydowscy”. Oni właśnie stanowili środowisko, w którym wyrósł, z którym łączyły go liczne, rozgałęzione więzy rodzinne, koleżeńskie, sąsiedzkie. I wspólna, zapomniana na poły, zanurzona w mitologii przeszłość. Toteż wielu najważniejszych, najbliższych mu uczestników korespondencyjnego dialogu – to właśnie ludzie z tych kręgów, tym bardziej spójnych, że prowincjonalnych; ludzie, którzy swą zaściankowość uszlachetniali na obraz i podobieństwo świata. Stąd wynika fakt unicestwienia tak ogromnie wielu listów Schulza: zginęły wraz ze skażonymi na zagładę adresatami.

Zarówno epistolografia, jak również twórczość pamiętnikarska (Schulz pisywał nieregularnie coś w rodzaju dziennika) nie od dziś chyli się do upadku. Listy bywają jeszcze literackim pretekstem formalnym; same przestały być twórczością, w dużym stopniu utraciły rację bytu, stały się anachronizmem i wręcz zanikły. I dzisiaj już nawet nie próbują dorównać tym – niedoścignionym – których papier pożółkł, a pismo wyblakło. Jedynie w zapadłych kątach, na zabitych deskami peryferiach czasu i przestrzeni mogły jeszcze przetrwać – zwykle w szczątkowych formach – tradycje sztuki epistolarnej, jej praktykowanie. Schulz był zapewne jednym z ostatnich, którzy tak piórem listopisarским wodzili.

Oddalonego od bliższych przyjaciół i „pokrewnych duchów”, miasteczko skazywało na intelektualną i artystyczną samotność, zaludnianą tylko przez tych, będących w zasięgu ręki, z którymi rozmowy mogłyby choć w części zastąpić wymianę z p i s a n y c h myśli. Bo właśnie listy i tylko one zdolne były pełniej przeciwdziałać osamotnieniu Schulza – człowieka pisma o wiele bardziej niż mowy. List nie miał wprawdzie artystycznej doniosłości i donośności, jaką miewa książka, ale za to mógł liczyć na bezpośrednią reakcję odbiorcy, zobowiązywał do niej.

Taka była rozłożona na głosy listowna rozmowa na odległość, szukanie oddźwięku, partnera, a w ostateczności – choćby tylko wdzięcznego odbiorcy treści, które bez możliwości dialogu skazane byłyby na jałowość. Listy sprawiały, że mógł Schulz – nie narażając się na tak często onieśmielający go kontakt osobisty – obcować z ludźmi. Tej potrzebie dawał niejednokrotnie bezpośredni wyraz, deklarował ją wprost. Chyba najdobitniej wyraził to w liście do Tadeusza Brezy: „Potrzebny mi jest towarzysz. Potrzebna mi jest bliskość pokrewnego człowieka. Pragnę jakiejś poręki świata wewnętrznego, którego istnienie postuluję. Wciąż tylko trzymać go na własnej wierze, dźwigać go wbrew wszystkiemu siłą swej przekory – jest trudem i udręką Atlasa” (list nr 11).

Urodzony w galicyjskim, polsko-żydowsko-ukraińskim Drohobyczu, został zabity przez gestapowca na ulicy swego miasta podczas hitlerowskiej masakry 19 listopada 1942 roku. Nie opuścił nigdy na dłużej swojej strony świata. Wybierał, jeśli tylko miał jakąkolwiek szansę wyboru, swój nieustający niedostatek, swoje niewiązanie końca z końcem, aby tylko pozostawać na dobre i złe na mitorodnej ziemi swego dzieciństwa, w cieniu sklepów cynamonowych. Stąd rozsyłał listy, aby odnajdywać przyjaznych mu, a nieraz i pokrewnych epistolografów-amatorów, wielu takich, którzy podtrzymywali go na duchu, a w późniejszych latach nie szczędzili wyrazów swej fascynacji i uznania, tak pomocnego na kapryśnej giełdzie literackiej i w udrękach nauczycielskiej harówki. Tylko niektórzy spośród owych korespondencyjnych przyjaciół zasłużyliby na miano animatorów jego twórczości; nieliczni byli naprawdę inspirujący. Ale byli. I choć nie zachował się ani jeden list Schulza do tych najważniejszych interlokutorów, warto zatrzymać się nad sylwetkami niektórych spośród nich i związanymi z nimi losami nieistniejących już dziś listów.

Nie wiemy, kiedy zaczęły się jego próby pisarskie, które, niepublikowane, zataiły się w szufladach Schulza – grafika-rysownika, nie objawiając się choćby wieścią o swoim istnieniu. Dopiero wtedy, gdy autor oficjalnie ujawnił swoją drugą (po plastyce), a odtąd pierwszą, najważniejszą profesję: pisarstwo, zaczął drukować i wydawać w edycjach książkowych swoje utwory, sprawa stała się wiadoma i wśród czytelników, i wśród znajomych drohobyczan i innych. Czy nikt, zupełnie nikt o pisarstwie Schulza nie wiedział? Wiedziała o tym garstka znajomych, może parę osób za ledwie. Jeszcze nic z genialnych Schulzowskich fantasmagorii nie ujrzało światła dziennego, kiedy wybrańcy, najbliżsi „krewni duchowi” musieli już zostać dopuszczeni do tajemnic pióra Schulza, który dla większości był dotychczas nauczycielem, a dla niewtajemniczonych do końca – rysownikiem, grafikiem i malarzem – nikiem więcej.

Do owych niedających się zlokalizować w konkretnym czasie, najwcześniejszych dzieł literackich przyczyniła się łączność Schulza – głównie listowna – z Władysławem Riffem, blisko o dziesięć lat młodszym odeń, dożywotnim zakopiańskim rekonwalescentem. Przyjaźń między nimi – nie wiemy, jak i kiedy nawiązana – objawiać się miała przede wszystkim w listach, we wzajemnej ich wymianie, w konfrontacji wyobraźni, w próbkach twórczych wizji, którymi obaj dzielili się rozrzutnie. Władysław Riff okazał się – by użyć sformułowania samego Schulza – wymarzoną „wspólnikiem do przedsięwzięć odkrywczych”.

Studiował filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jego ojciec Rafał Riff był właścicielem agencji handlowej; matka prowadziła niewielki pensjonat w Zakopanem. W pensjonacie tym umieściła chorego na płuca syna, który co pewien czas przenościł się z Krakowa na coraz dłuższe okresy kuracji, aż wreszcie, ze względu na tak zwane galopujące suchoty, porzucił dom i studia i zamieszkał w willi-pensjonacie, jak się miało okazać, na stałe. Schulz odwiedzał go tam w okresie ferii świątecznych i szkolnych wakacji już od początku lat dwudziestych, przede wszystkim jednak nawiązał z nim istotną korespondencję, utrzymującą się prawie do śmierci przyjaciela, który zmarł 25 grudnia 1927 roku, mając zaledwie dwadzieścia sześć lat. Częściej pisali do siebie, niż rozmawiali; poza upodobaniem Schulza do rozmów pisanych zaważyła tu także różnica ceny biletu kolejowego i znaczka pocztowego. Riff pisał wiersze i powieść, ambitną, „eksperymentalną” w konstrukcji, którą sam określał jako „powieść przygód psychicznych”. Między Zakopanem a Drohobyczem mijało się wiele listów – z obu stron niecierpliwie oczekujących odpowiedzi, rozstrzygnięć, aprobaty. Były to listy „ważne” i z tego powodu traktowane jako „pilne”: pełne spraw sztuki, którą obaj żyli, mityzacji życia i świata, praktykowanej w idei i w pisarstwie. Pokrewni sobie duchowo, złączeni wspólną pasją, wspólną inspiracją mitem jako siłą sprawczą sztuki – jedynej sprawy, jedyne zadania, któ-

re ich absorbowało – próbowali określać własną interpretację świata. W polemice, we wzajemnych sprzeciwach i akceptacjach, nieraz dochodzili do wspólnych lub identycznych wniosków, a rozbieżności jawiące się między nimi stawały się często jeszcze bardziej dla obu stron owocne niż jednomyślność.

Po wielu latach znajomy ich obu, poeta Adam Ważyk, wspomni tę krótkotrwałą eksplozję wyobraźni i talentu: „Bruno Schulz przysłał mi kilka listów Riffa pisanych z Zakopanego do Drohobycza. Pensjonat w tych listach przeobraził się w statek, spomiędzy gości wyłoniona była załoga pod wodzą fikcyjnego kapitana. Statek był groteskowy, proza plastyczna, gęsto usiana metaforami...”².

Kto komu więcej zawdzięczał, kto więcej zyskał w owej korespondencyjnej wymianie? Jeśli wynikł z niej jakikolwiek pożytek, to tylko dla osobowości twórczej Schulza, któremu los pozwolił żyć piętnaście lat dłużej niż zakopiańskiemu przyjacielowi. Poza tym nie ma odpowiedzi na to pytanie, nie może być rozstrzygnięcia tej kwestii. Zgodnie z przepisami sanitarno-epidemiologicznymi do pensjonatu pani Riffowej przybyli dezynfektorzy, aby w lokum zajmowanym aż do śmierci przez Władysława dokonać obowiązkowych „zabiegów bakteriobójczych”. Dezynfekcję przeprowadzili skrupulatnie, a nawet gorliwie, niszcząc doszczętnie toksyczne rękopisy nigdy niedrukowanych utworów zmarłego, a przy okazji między innymi wszystkie listy Schulza. Po młodym, rokującym świetne nadzieje pisarzu nie pozostał żaden ślad.

Halina Drohocka, późniejsza wybitna artystka scen polskich, w latach wczesnej młodości, kiedy to poznała Schulza w Zakopanem, przyjaźniła się z chorym Władkiem i jego rodziną. Przed laty opisała mi w liście osobliwie wstrzemięźliwy, jeśli nie „zabobonnie” odzegnujący się stosunek Schulza do wspomnień o zmarłym przyjacielu. Zapytany o niego parę lat później, Schulz, ku za-

2 A. Ważyk, *Kwestia gustu*, Warszawa 1966, s. 110–118.

skoczeniu Drohockiej, zachnął się z mgnieniem popłochu w oczach i nie próbując się maskować w tym odruchu, nie szukając jakichś rzekomych, *ad hoc* przywoływanych motywów braku odpowiedzi – wyszeptał jakby wymijająco: „Proszę mnie o to nie pytać, lepiej zostawmy to w spokoju...”, lub jakoś podobnie.

Czy może poczuł doskwierający mu ciężar zaniedbanego długu, na którego spłacenie było już za późno? Żaloba i smutek zdążyły się rozproszyć i minąć, więc co pozostało? Halina Drohocka odczuła tę odmowę rozmowy jako lęk, że mówienie o „duchowym bliźnim” wciągałoby Schulza niejako w „regiony nicości”, w których zmarły już się znalazł.

Schulz miał zwyczaj pisania „ważnych” listów na brudno, zachowywania notatek z ich pierwotnych wersji. Owoce wspólnych przemyśleń i dialogów, a więc jakby zaczyni dzieła, mogły w ten sposób przetrwać owo rozstanie i w dojrzałej postaci trafić do rękopisów Schulza, czy też do dalszych dysput, prowadzonych – także epistolograficznie – już z kim innym, na przykład z Deborah Vogel, którą poznał parę lat po zakopiańskim pożegnaniu. Zresztą korespondencja z Riffem tylko jednostronnie uległa zagładzie; druga jej część – manuskrypty listów Riffa – jeszcze wówczas istniała, bez luk i uszczerbku przechowana w Schulzowskim domowym archiwum.

Jest w opowiadaniu Schulza *Noc wielkiego sezonu* z cyklu *Sklepy cynamonowe* fragment – bardziej klasycznie surrealistyczny niż schulzowski w swej metaforyce i obrazowaniu – o którym ktoś, kto znał i Riffa, i Schulza, twierdził, że został przejęty z listu czy fragmentu prozy Riffa. Fragment ów brzmi: „Ojciec nasłuchiwał. Jego ucho zdawało się w tej ciszy nocnej wydłużać i rozgałęziać poza okno: fantastyczny koralowiec, czerwony polip falujący w mętach nocy”.

Minęły dwa–trzy lata epistolarnego osamotnienia Schulza. Nie znaczy to, że odłożył pióro „drohobyckiego korespondenta”, ale współnika do „przedsięwzięć odkrywczych”, po utracie ostatniego, szukał prawie do roku 1930. W okolicy tej daty rozpoczęło się

współ-myślenie o świecie i twórczości z Deborą Vogel. Być może nastąpiło to jeszcze w roku 1929 – po dwóch latach poszukiwań adresata wybranego.

Tak się składa, że spośród znanych nam korespondentów Schulza – cztery nazwiska najważniejsze dla jego twórczej drogi – Riff, Vogel, Nałkowska i Szelińska – to nadawcy wyłącznie zaginionych listów, wysłanych w swoim czasie na Floriańską 10 w Drohobyczu. Ani jeden ich list do Schulza (z wyjątkiem przypadkowych fragmentów epistolarnych Debory Vogel) nie istnieje; równoległe: ani jeden list Schulza do któregoś z tych czworga nie przetrwał do naszych czasów. Jest paradoksalną prawidłowością, że wstęp do *Księgi listów* poświęcamy w sporej części właśnie listom, których nie ma. Pozostałe teksty, składające się na *Księgę*, dopowiadane i objaśniane są przypisami czy komentarzem. Nieobecność listów i ich autorów – tych najważniejszych – trzeba więc choć w drobnej mierze zastąpić dostępną nam cząstkową informacją o nich, o ich autorach, o rodzaju kontaktów i spraw łączących ich z pisarzem, o dziejach ich przyjaźni.

■

Pod koniec lat dwudziestych, w czasie pobytu w Zakopanem, poznał Schulz przybyłą tu na wypoczynek Deborę Vogel. Ich pierwsze, przypadkowe spotkanie nastąpiło w pracowni Witkacego, gdzie dwudziestokilkuletnia absolwentka Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, doktorantka profesora Kazimierza Twardowskiego, toczyła zażartą dysputę filozoficzną z artystą – twórcą niejasnego pojęcia Czystej Formy. Wymiana zdań dotyczyła ponoć bardziej filozofii niż sztuki i nie wróżyła uzgodnienia poglądów obojga adwersarzy.

Zawarta przy wtórze intelektualnego pojedynku znajomość Schulza z Deborą przekształciła się niebawem w przyjaźń i przetrwała na zawsze, krótkie z a w s z e obojga. Puste miejsce po

świadomie niewspominanym Władku Riffie zajęła godna następczyni.

W listach Schulza do niej z rosnącą częstotliwością zaczęły się pojawiać – okrucz po okruczu, fragment po fragmencie – załączki olśniewających historii, tyleż drohobyckich i osobistych, co mitycznych i uniwersalnych, stopniowo coraz bardziej dominujących nad innymi treściami korespondencji. Z wzrastającym z listu na list zachwytem Debora odczytywała magiczne dzieje Drohobycza, czyli świata, historie Ojca i Syna – tyleż kupiecko-bławatne, co kosmogoniczne. Z tych listów powstały *Sklepy cynamonowe*.

I ta, jakże obfita i cenna, korespondencja uległa zagładzie wraz z Deborą, zamordowaną w lwowskim getcie. Listy Schulza, do których przywiązywała wielką wagę, przechowywała do końca, przez lata, kiedy profesjonalna twórczość ich obojga osłabiła kontakty epistolarne. Nadeszła chwila ujawnienia się Schulza-pisarza, uważanego dotychczas wyłącznie za malarza i grafika; jego dzieło stało się własnością publiczną – pojawili się nowi znajomi i przyjaciele ze świata literackiego; nauczyciel rysunków okazał się niespodziewanie autorem rewelacyjnej prozy. Obarczyło go to pełną tremy odpowiedzialnością, obawami, aby nie zawieść pokładanych w nim nadziei; bardzo utrudniało kontynuowanie pracy pisarskiej, paraliżowało, odrywało od korespondencji ze swą najlepszą, najbardziej pobudzającą intelektualnie i artystycznie Muzą – Deborą Vogel – reprezentującą poglądy i rodzaj wyobraźni już to nieco pokrewne Schulzowi, już to odmienne. Ale zarówno różnice, jak i kontrowersje ujawniane w ich korespondencji bywały bodźcem do potwierdzeń i sprzeciwów równie owocnych twórczo.

Nadeszła druga epoka epistolograficzna, ta – zdaniem Schulza – mniej doskonała w formie i zawartości listów. Zaczyna się ona mniej więcej od *Sklepów cynamonowych*. Właśnie z tego późniejszego okresu pochodzi ogromna większość zawartych w niniejszym zbiorze listów, stanowiących zaledwie drobną część

ogromnej korespondencji z lat 1934–1942. Wyboru dokonał bezosobowy, barbarzyński los.

Forma listu, bezpośredniego przekazu, skierowanego do konkretnego, znanego piszącemu odbiorcy, fascynowała Schulza zawsze. Świadczy o tym choćby użycie tej formy w niektórych publikacjach teoretyczno-literackich, jak na przykład w arcyciekawej odpowiedzi Witkiewiczowi (list nr 63) czy też w przeznaczony do druku i opublikowanej wymianie polemicznych listów z Gombrowiczem (list nr 67). Mimo częstszych w latach trzydziestych wyjazdów do Warszawy, mimo nawiązania dość licznych i cennych znajomości z wybitnymi przedstawicielami literatury – Schulz pozostawał przecież nadal w drohobyckim osamotnieniu. Odcięty od głównych nurtów spraw dziejących się w ośrodkach kulturalnych kraju, prowincjusz i wieczny *outsider*, prześladowany był ciągle obawą p i s a n i a w p r ó ż n i ę. Toteż każdy głos czytelnika stanowił dlań pomocne utwierdzenie, potrzebne mu poparcie w jego trudnej, choć przecież w jakiś sposób niezbędnej samotności. „Czy to nie jest szczęście niezasłużone i niesprawiedliwe – pisze w jednym z listów, dziękując za pochwałę swego dzieła – że nam książka przynosi – prócz innych dóbr – jeszcze przyjaciół?” (list nr 79). Ale gdzie indziej stwierdza: „[...] mój los szczególny. Dominantą tego losu jest głęboka samotność, odcięcie od spraw codziennego życia. Samotność jest tym odczynnikiem, doprowadzającym rzeczywistość do fermentacji, do strącenia osadu figur i kolorów” (list nr 63).

Traktował sztukę epistolarną jako kunszt, jako pewien – marginesowy później – rodzaj twórczości. Niemal z reguły wszystkie listy, które uważał za istotne, pisał na brudno, by następnie, po dokonaniu poprawek i ostatecznego szlif, przepisywać je na czysto. Tak czynił nawet w listach do narzeczonej.

■

Listy do narzeczonej... Do Józefiny Szelińskiej, zwanej Juną. Nie czeka ich przyszłość listów do Mileny Franza Kafki, nie przeczytamy ich nigdy: wojna i jej następstwa zapewniły całkowitą i wieczną dyskrecję temu ważkiemu dialogowi dwojga najbliższych sobie ludzi, tej ponadtrzyletniej pisanej rozmowie dwu wybitnych, wrażliwych osobowości. Było tych listów bardzo wiele, wszystkie zaginęły razem, niepogubione i nierozproszone przez adresatkę. Nie trzeba dodawać, że odpowiedzi Juny zaginęły także, jak wszystko niemal, co pozostało po Schulzu w Drohobyczu.

Wszystko, co wiadomo o listach Schulza do Szelińskiej – w sumie bardzo niewiele – pochodzi od ich adresatki, z jej listów z lat 1948–1990 do wydawcy tej *Księgi*. Jest ich sporo, ale wiadomości o nieistniejącej już korespondencji – bardzo mało. Dotyczą klimatów, nie konkretów, i odnoszą się głównie do kwestii zaginięcia, przez długi czas uznawanego przez nią za nieoczywiste: wierzyła w ocalenie listów Schulza, choć nie podejmowała żadnych starań, by je odnaleźć w schowku, który sama wybrała i uważała za niezawodny.

W chwili, kiedy uznała, że dalsze przebywanie w rodzinnym domu w Janowie koło Lwowa zagrażać może jej życiu, postanowiła uratować niektóre pamiątki osobiste. Wśród nich – listy od byłego narzeczonego, Brunona Schulza. Sporządziła z nich wszystkich jeden pakiecik, zawierający cały zespół prowadzonej w ciągu kilku lat korespondencji. Kiedy przebywała daleko – w Janowie, Warszawie albo na wakacjach, przeważnie nad morzem, słał do niej list za listem – zawsze z przyspieszającą doręczaniem nalepką „express” i z naleganiem na podobnie szybki rewanż – chcąc możliwie jak najbardziej zmniejszyć dystans między dwojgiem rozmówców. Związek przyjaciół, a później narzeczonych, trwał niespełna cztery lata, a drohobyckie, warszawskie, lwowskie czy zakopiańskie spotkania bywały na ogół dość krótkie. Póki Juna

pracowała w drohobyckiej szkole, listy nie były potrzebne; kiedy otrzymała pracę w Warszawie – stały się jedynym środkiem łączności, nadchodziły co parę dni, nieraz co dzień, stanowiły nieprzerwaną kronikę miłości i przywiązania: miłości często zabarwionej matczyną opiekuńczością, z drugiej zaś strony – bezbronną potrzebą pomocy, wsparcia na duchu, ukojenia w rozhuśtanych stanach depresyjnych.

Tych treści, spraw i klimatów możemy się tylko domyślać: listy Juny, podobnie jak jego, nie istnieją. Ów pakiecik, który sporządziła już *inter arma*, miał ją przetrwać, jak przeżył ich miłość, jej i Brunia (tak go zdrobniale nazywała); schowała go w janowskim domu Szelińskich, na strychu, w ciasnym zakamarku za dachową krokwią. Jeszcze po wojnie zapewniała, że listy tam *m u s z ą b y ć*, choć po ewentualnym dotarciu do nich nie zamierzała „nigdy i nikomu” ich udostępnić.

Byłem w Iwano-Frankowem (wcześniej: Janowie) i z rozmów z ludźmi, z relacji niesprzecznych wzajem, dowiedziałem się, że istotnie – dom Szelińskich ocalał, że po zakończeniu działań wojennych pozostawał nienaruszony i mieścił jakieś przedszkole czy dom dziecka. Ale po pewnym czasie, gdy pojawiły się tam grupy zbrojne narodowej ukraińskiej partyzantki, w ogniu walki spłonął, a w nim – listy, tamte właśnie, ze strychu. Chciałoby się powiedzieć, że niezwykle upór losu, który wytrwał przy wyroku unicestwienia, okazał się silniejszy od wszelkich szans ratunku.

Relacje Józefiny Szelińskiej, rozsiane w listach do piszącego te słowa, są skrótowe, oszczędne, czasem niechętnie własnej pamięci. Przekazują niewiele w stosunku do tego, co byłoby do przekazania. Są wszakże jedyne, a dzięki temu cenniejsze, niż gdyby były tylko jednymi z wielu. Przytoczmy (biorąc pod uwagę czujną autocenzurę pani Juny) taki ekstrakt, sporządzony z wyimków z jej zwierzeń. Zapiski, jak już zostało powiedziane, nie mają konkurencji, ponieważ wobec śmierci wszystkich obserwatorów, rówieśników czasu, ludzi i miejsc, których dotyczą, zmuszają za-

interesowanych do alternatywy: przyjęcia ich za dobrą monetę lub niedowierzania. Z niczym już nie da się ich skonfrontować (prócz faktu zatajenia próby samobójstwa), nie poddają się żadnej weryfikacji; uznałem, że zasługują na zaufanie jako ograniczona spowiedź, czyniona w imię niezachwianego – mimo wszystko – przekonania o wielkości Brunona Schulza, której nawet nietajone słabości jego charakteru nie są w stanie zaszkodzić. Bezinteresowność osobista tych wyznań nie ulega wątpliwości: Józefina Szelińska nigdy i nikomu w ciągu pięćdziesięciu lat od rozstania z pisarzem nie przyznała się do znajomości z nim, nie próbując czerpać z tej niegdysiejszej bliskości i wspólnoty jakichkolwiek ambicioznych zaszczytów czy satysfakcji. Przekazanie mi do wiadomości tej cząstki pamięci – wielkodusznie przemilczającej fakt swej próby samobójczej – było czymś zupełnie wyjątkowym i przy zastrzeżeniu, że nie zdradzę jej tożsamości, wynikało z potrzeby upamiętnienia postaci pisarza, do końca jej nieobojętnej.

Oto słowa Szelińskiej, pisane po kilkudziesięciu latach: „W początkach wiosny 1933 r. przyszedł do mnie do szkoły p. Kuszczak, w którego towarzystwie widywałam owego młodego człowieka – nazwiska jego nie znałam – jako wysłannik swego kolegi, który chciałby uzyskać moją zgodę na zrobienie mego portretu – sam bowiem nie śmie [...]. Wkrótce potem odwiedził mię Schulz. Zupełnie nic o nim nie wiedziałam. Dopiero potem obejrzałam jego roztańczone pary, zdobiące aulę gimnazjum, a we Lwowie w muzeum 2 obrazy: autoportret i kompozycję figuralną [...]. Na pierwszej wizycie zrobił na mnie wrażenie człowieka b. młodego, młodszego ode mnie – a miałam wówczas 27 lat – i byłam zdumiona, gdy przyznał się do 41 lat. Nie chciałam wprost uwierzyć. – Odtąd zaczęły się seanse, na których często odkładał pastele i rozmawialiśmy. Przyznał się nieśmiało, że ma wydać książkę, że protektorką jest Z. Nałkowska. Przynosił Rilkego, czytał niektóre jego wiersze niezapomnianym, sugestywnym, tajemniczo dalekim od wszelkiego recytatorstwa głosem, jakby to on sam

tworzył te wiersze Rilkego. – Te seanse u mnie [...] – a następnie nasze spaceru na łąki za domem, do lasu brzozowego całego w wiosnie, dały mi przedsmak cudowności, niepowtarzalnych przeżyć, które tak rzadko w życiu się trafiają. Był to sam ekstrakt poezji. Tylko gdy ja odczuwałam i odczuwam kontakt z przyrodą biologicznie – dla Bruna młody laszek brzozowy, sama nieporadność wzruszająca, służyła jako temat do snucia refleksji i gromadzenia obrazów, aby dojść niejako do głębi zjawiska. – Schulz przynosił książki, które omawiał, wykazywał, co mu było bliskie w Kubinie, w deformacji postaci; z Kubinem łączyła go ta pełna fantastyki goyowskiej groza. – Odnajdywał w każdym człowieku jakieś podobieństwo do zwierząt. – A jakie zwierzę ja przypominam? – zapytałam ciekawie. – Pani – antylozę. – A pan? – Psa. – Lato 1933 r. spędziłam w Jastarni, gdzie otrzymałam list, pierwszy i ostatni, w którym zwracał się do mnie *per* pani. – Po moim powrocie z wakacji Bruno stał się codziennym gościem. Przychodził wieczorem, zmęczony, stroskany przyszłymi losami książki. – W grudniu mógł mi ją już ofiarować z dedykacją: «Junie, świetnemu człowiekowi, bliskiemu druhowi, spotkanemu na drogach życia, z prośbą o pamięć». Byliśmy ze sobą w głębokiej przyjaźni, złożył swój los w moje ręce – jego słowa – pełen zaufania, że go nie skrzywdzę, z poczuciem bezpieczeństwa i opieki, jak gdybym ja była tą stroną silniejszą! Mnie dawał sens życia, smak przebywania w trudnej atmosferze szczytów z człowiekiem tak na wskroś odmiennym od wszystkich ludzi, jakich w życiu spotkałam. – O narzeczeństwie nie było mowy. – Odkąd wyjechałam z Drohobycza w 1934 r. zaczęła się nasza korespondencja, przerywana nielicznymi, na ogół krótkimi okresami widzenia się, pełna żarliwych listów, ratujących Bruna w jego depresjach, matczyńskiej opieki i troski o tego bezbronny w sferze życia człowieka, z jego strony – pełna listów, prawie zawsze «ekspres» dla utrzymania jak najszybszego, stałego kontaktu, najtkliwszych w jego oddaniu. – Spotykaliśmy się w Warszawie – okres ferii

świętecznych – bywając w gronie bliskich i zachwyconych Brunem jego przyjaciół: Witkiewicza, Gombrowicza i Brezów. Nawiązaliśmy b. żywy kontakt z bezpośrednim i miłym Waciem Czarskim, który obiecał wyrobić mi pracę w Warszawie. – Wakacje 1935 r. spędziliśmy w Zakopanem, widując się często z Witkacym, Wittlinem, bywając – rzadko – na Harendzie. Raz nawet p. Marusia pośredniczyła między Brunem a mną w jakimś naszym nieporozumieniu – przynosząc patetycznie różę dla mnie, od siebie. – A nieporozumienia, raczej wewnętrzna szarpanina, zaczęły się właśnie z momentem, gdy postanowiliśmy przenieść się do Warszawy. Już bowiem w październiku 1935 r. dzięki pomocy cudownego człowieka, Tadeusza Szturm de Sztrema, dostałam pracę w GUS-ie.

Bruno przyjeżdżał dalej na święta, a w r. 1936 przebywał dłużej, czując się jednak fatalnie, na co wpłynęła konieczność podjęcia decyzji przyjęcia pracy w Warszawie, decyzji, do której był zawsze w najgłębszych swoich pokładach negatywnie nastawiony, czując, że twórczość jego – ten jedyny sens jego życia – była nierozzerwalnie związana z Drohobyczem. Jeśli poprzednio zależało mi bardzo na wspólnym życiu w Warszawie, jeśli w tym celu podjęłam się straszliwie nudnej, zabójczej w swej nudzie pracy biurowej, to właśnie po to, by przyczynić się do materialnego ugruntowania naszego życia w Warszawie, co było łatwe i możliwe – przecież tak żyli Wittlinowie, on [...] oddany wyłącznie pracy literackiej. – Nie mogłam żyć w takim prowizorium, skazana w Warszawie na pracę, której nienawidziłam, która straciła swój sens, piekielnie mechaniczna, licho płatna i martwa. Do pracy szłam z rozpaczą i z rozpaczą zaczynałam dzień. Z drugiej strony, jak ugruntować swój spokój, burząc spokój tak drogiej i bliskiej istoty i znając jego skłonności do depresji, jego, a raczej nasze, stany taediowitalne, w których nawzajem zatruliśmy się. – Jak podjąć decyzję zerwania tej łączącej nas przez 4 lata więzi, zostawienia tej kruchej, bezbronnie obnażonej wobec życia istoty jej lo-

sowi? – Doskonale zdawałam sobie sprawę, że z nas dwojga nie on, lecz ja byłam – wbrew pozorom – tą stroną słabszą. On miał swój świat twórczości, swoje wysokie regiony, ja nie miałam nic. Nie umiałam jednak żyć w takiej szarpaninie i z pomocą przyszła mi ciężka choroba³ – świetna ucieczka. Gdy wyzdrowiałam, natychmiast rzuciłam pracę w Warszawie i wróciłam do rodziców. Tam odwiedził mnie Bruno. Okazał mi wiele troski, oddania, nawiózł fig i daktyli, które sam tak lubił, czuł się winny, zupełnie bezpodstawnie, bo był samą tylko dobrocią, a motywy, które kierowały jego wyborem, były «nie z tego świata». – Z choroby, z tej drugiej strony, wróciłam do życia zupełnie odmieniona. Oddalałam się od Bruna o całe wieki. Nie czułam już nic, znikło całe uniesienie, w którym trwałam prawie cztery lata”.

I jeszcze jeden fragment dotyczący związku Juny z Brunonem Schulzem – w jej relacji, prostującej nieścisłości na ten temat, które wkradły się do mojej książki *Regiony wielkiej herezji*: „O małżeństwie zaczęliśmy mówić dopiero w 1935 r., gdy dostałam pracę w Warszawie, dokąd i Bruno miał się przenieść [...]. W 1936 r. musiałam się zgodzić, by Bruno napisał do moich rodziców – aby tradycji stało się zadość – piękny list o naszym zamierzonym związku i spółce na całe życie”.

Uważam te sprawy i ich interpretacje, wyłożone w przytoczonych fragmentach, za ważne i dające pewne wyobrażenie o klimacie i charakterze stosunków między tymi dwojgiem, którzy zamierzali związać swoje losy. Właśnie ze względu na wagę tych skrótowych wspomnień koronnego świadka i współuczestnika istotnego wycinka biografii pisarza – także „biografii duchowej” – nie zastąpiłem cytatów streszczeniem zawartych w nich danych faktograficznych i ocen – lecz podaję tekst *in extenso*.

3 W ten sposób Szelińska zataja fakt, że na tle nieporozumienia z Schulzem próbowała wówczas popełnić samobójstwo.

W jakiejś – z natury rzeczy – drobnej mierze wzbogaca on wiedzę o tych elementach biografii Schulza, których historia najpełniejsza i najbardziej wierna jego odczuciom zaginęła wraz z paczuszką zawierającą około pięciuset stroniczek wypełnionych drobnymi, jakby oszczędzającym papier pismem. Ich adresatka jest – obok Riffa i Debory Vogel – jednym z najważniejszych partnerów korespondencji Brunona Schulza, czytelniczką największego chyba zespołu listów, jaki artysta kiedykolwiek do jednej osoby napisał.

■

Równie jednoznaczny i nieodwracalny los przypadł w udziale korespondencji Schulza z Zofią Nałkowską.

Znakomita pisarka, protektorka i przyjaciółka autora *Sklepów cynamonowych* uzupełnia i zamyka listę czworga korespondentów pisarza – tych najbliższych i najdoskonalszych – których nazwisk nie znajdziemy ani w spisie autorów znanych nam listów do niego, ani wśród jego adresatów. Nie ma ich wszystkich; pozostają jedynie w legendzie nieocalonych słów i wiarygodnych świadectw.

Zofia Nałkowska, która w życiu i w swych *Dziennikach* nie tylko książkom Schulza nie szczędziła zachwyty i najwyższych ocen, ale odnosiła je także do jego listów, uznając je na tle ogółu innych, jakie do niej kiedykolwiek pisano, za „szczególnie piękne”. Wszystkie spłonęły w powstańczej Warszawie w 1944 roku.

Dzięki łańcuchowi osób kolejno pośredniczących: Debora Vogel – Magdalena Gross (rzeźbiarka) – Hanna Nałkowska-Bickowa (rzeźbiarka, siostra Zofii) – Schulzowi udało się dotrzeć do Zofii Nałkowskiej z rękopisem *Sklepów cynamonowych* w teczce, dzieła, które od około dwóch lat było już gotowe, bezradnie czekając na możliwość druku.

Tak została zawarta ta znajomość i już w lipcu 1933 roku znajdujemy w *Dziennikach* pisarki pierwszą notatkę o Schulzu – pół

roku przed jego debiutem, w którego praktycznej realizacji dopomogła mu swym autorytatywnym poparciem.

Pierwszego lipca 1933 roku, w trakcie pisania *Granicy*, wynotowała w dzienniku swoje refleksje na temat trudności piętrzących się przed nią w tej pracy i zwątpień co do własnej twórczości. I zaraz potem: „Z tej udręki odrywa się nagle dobro, parę dni pobytu Brunona Schulza, jego listy. Jest zbyt delikatny i słaby, aby mógł mi być ratunkiem – ale świat jego myśli dał mi przeciwwagę, i wytchnienie”⁴.

Na Górkach, czyli w Domu nad Łąkami, 11 lipca 1933 roku, pisze Nałkowska o Schulzu: „obdarza mię listownie nieprzebrany bogactwem nie tylko dziwacznej «adoracji», ale twórczych, głębokich i cienkich myśli. Oto jeszcze jedno dobro, które przyjąłam oburącz, wartość realizująca się na drodze od człowieka do człowieka. Takie słowa: «Gdy Bóg powiedział Ciebie, powiedział już i mnie w Tobie. Dlaczego powiedziałem się jeszcze raz, dlaczego popełniłem ten pleonazm?» Albo: «Jak w ogóle mam rozumieć fakt, że jesteś kobietą? Co chciałaś przez to powiedzieć?»» (s. 380–381).

Na Górkach, 10 września 1933 roku zapisany został w *Dziennikach* i taki fragment: „Ale moja wierność nie dotyczy już Mirosława Krleży, tylko Brunona Schulza. Widziałam go w sierpniu przez dwa dni w Warszawie i tu na Górkach. Jestem otoczona jego listami, z których czerpię wiele zgody na siebie. A jego grafiki! To nie jest wielka radość, ale cichutkie, smutne szczęście” (s. 388).

Wkrótce po ukazaniu się *Sklepów cynamonowych* Nałkowska spotkała Schulza w Zakopanem. Odnotowuje to spotkanie 4 stycznia 1934 roku: „A już jest Bruno Schulz, którego książka pierwsza

4 Z. Nałkowska, *Dzienniki IV: 1930–1939*, część 1: 1930–1934, oprac., wstęp i komentarz H. Kirchner, Warszawa 1988, s. 378. Kolejne cytaty lokalizowane są bezpośrednio w tekście.

Sklepy cynamonowe wyszła przed świętami – pełna dziwności, głęboko własna. I on jest na pewno najważniejszy. [...] Bruno delikatny i cichy, ledwie ważący coś na życiu. Ale ta zwiewność jest z najlepszego materiału” (s. 395–396).

Po odjeździe Schulza z Zakopanego pisze 16 stycznia: „Wczoraj odjechał Bruno Schulz i zostawił po sobie dużo pustego miejsca, choć jest tak mały. Odpowiadam sobą jego najżywszej potrzebie, wydaję się na jego adorację – wdzięczna i miła, nie zabraniam mu się przebóstwiać. Ale jego prawda o mnie jest jedna, a moja druga. [...] Gdy myślę, dlaczego spośród ostatnich moich możliwości wybrałam właśnie Brunona Schulza, to ten kaprys jest usprawiedliwiony i konsekwentny [...]. Nie tylko talent, władanie słowami i myślą, ale wysoki gatunek reakcji na świat, operowanie w jedynej i własnej strefie rzeczywistości. Jeżeli nie wszystko dopowiedziane zostało erotycznie, to psychiczne węzły są mocno zaciągnięte. Długie drogi i rozmowy w śniegu i słońcu, rozległy luksus wymienianych myśli pośród żalostnego ubóstwa życia, zewsząd otamowanego i zwężonego” (s. 398–399).

Już wkrótce, nadal w Zakopanem – 15 lutego 1934 roku – pisze w związku z egzemplarzem *Sklepów cynamonowych*, który przysłał jej Schulz z Drohobycza: „Od Brunona jego książka przez niego dla mnie ilustrowana i własnoręcznie oprawiona w brązowy jedwab. Co za świat zupełnie jedyne, żalostny i świetny. Jego listy. Znowu doskonała recenzja w «Wiadomościach Literackich» (przedtem w «Pionie»). Moje ambicje i próżności literackie wyzywają się tak zastępczo w tych młodych talentach [...]. Choć zapewne najbardziej udał mi się Choromański – jako rozgłos i popularność, tylko że jakościowo jest mi dalszy od Rudnickiego i Schulza” (s. 401–402).

W Warszawie, 15 kwietnia 1934, Nałkowska notuje: „W łoskocie mknących naokoło zagadnień i robót, tygodniowa obecność Brunona Schulza przesunęła się smugą ciszy, delikatności, bliskości. Jego sukces, któremu się nieśmiało dziwi, uczuwam jako osobistą

chlubę. Jego książka od trzech lat była gotowa, zanim przyszedł do mnie. Dziś ma doskonałe krytyki i co więcej, mnóstwo listów z uznaniem od osób miarodajnych (Witkiewicz, Tuwim, Wittlin, pochwały Berenta, Przesmyckiego, Leśmiana, Staffa) [...]. Jednego z tych dni zaprosiłam po południu kilkanaście osób specjalnie z myślą o Brunonie – więc jego entuzjastów: Bleszyńskiego, Brucza, Wata, Czapskiego, Rudnickiego, Boguszewską, Kornackiego. Był też Karol Szymanowski [...], Irzykowski [...] i Gojawiczyńska [...]" (s. 440).

Po kilkudniowej nieobecności w Warszawie zapisuje Nałkowska 21 kwietnia 1934 roku: „Po powrocie tutaj dostałam drugi już list od Brunona, opływający mię czarem i najczulszą delikatnością, adoracją kontemplatywną i szczęśliwą od spokoju” (s. 445).

Miał Schulz dla „przebóstwianej Muzy” i władczej przyjaciółki niekłamane słowa „szczęśliwe od spokoju”. W tym samym czasie pisał do Waśniewskiego słowa równie prawdziwe, choć pozornie sprzeczne ze składanymi w uniżonej adoracji, w istocie jednak mówiące równoległą prawdę o nim, nieujawnianą w odświętnych seansach najszczerzego bałwochwalstwa i kultu, odprawianego nawet w listach do Nałkowskiej. Pisał więc j e d n o c z e ś n i e: „Jeżeli nie odpłacam się Wam równą obfitością wynurzeń – to dzieje się to z dziwnego zahamowania, jakiemu podlegam od pewnego czasu, jakiegoś braku radości, depresji, dla której nie znajduję dostatecznej przyczyny. Muszę być chyba chory nerwowo. Miałbym teraz dużo powodu do zadowolenia, mógłbym sobie pozwolić na trochę radości, a zamiast tego przeżywam nieokreślony strach, zmartwienie, żalność życia [...]. A właśnie spadła na świat taka nieprawdopodobna i błyszcząca wiosna z wszystkimi powiewami, blaskami, przecuciami – dla mnie tylko po to, by mi uświadomić, że jestem już po tamtej stronie wszystkich wiosen” (list nr 28).

Po upływie niespełna miesiąca od ostatniego zapisu o Schulzu, 19 maja 1934 roku, czwartego dnia po swych imieninach, w czasie choroby, Nałkowska pisze, związawszy się ze swym przyszłym mężem

żem Bogusławem Kuczyńskim, a więc mając już swój „kaprys” schulzowski poza sobą: „Pokój ciemny, zasłony jeszcze nie rozsunięte, powietrze duszne od żyjących jeszcze imieninowych kwiatów. Między nimi czarno-czerwone róże, którymi Bruno Schulz umiał mię obdarzyć aż stamtąd. O miły, który jeszcze nie wie. Nie jestem oczywiście treścią jego istnienia w tym stopniu, jakby się to wydawało z jego listów, z jego ślicznych słów. Nie nazywało się to nawet miłością. Było raczej sprawowaniem kultu, głoszeniem mojej chwały. I wynikało nie z mojej jakości, lub nie tylko z niej – ale z jego natury, łaknącej pokory i zaguby w uwielbieniu i tutaj znajdującej wreszcie jakby obiektywne uzasadnienie (w mojej «doskonałości») tych grzesznych pragnień, okazję do wyżycia się ich w wyższej sferze erotycznej. Mówię w czasie przeszłym, ale to jeszcze jest. Tylko mnie już nie ma na tym miejscu” (s. 449).

I Schulza też nie ma w *Dziennikach* przez długi czas, przez ponad rok związku Nałkowskiej z Kuczyńskim. Dopiero smutne wspomnienie jego książki, *Sklepów cynamonowych*, opracowanej w jedwab o barwie cynamonu, przywołuje Schulza z powrotem na karty *Dzienników*. Żal do Bogusława Kuczyńskiego, który w ataku zazdrości zniszczył ten jedyny w swoim rodzaju egzemplarz. W 1935 roku, 20 lipca, Nałkowska pisze: „Dlaczego Bogusław nie tylko wtedy wraz z innymi rzeczami podarł tę książkę, ale ją jeszcze spalił, żeby nie zostało nic, żeby nie dało się tego zebrać ani skleić. Już przecież przebaczyłam, niby zrozumiałam wszystko – ale oto znowu nie mogę tego wytrzymać [...] (książka Brunona Schulza oprawna w ciemny jedwab brązowy, ilustrowana oryginalnymi rysunkami, z długą maksymalną dedykacją – rzecz w ogóle niepowrócona, nie dająca się niczym powetować, jedyna, cenna, dziwna – i to właśnie tym, że jest naprawdę nieaktualna, że zepchnięta była już wtedy w przeszłość)”⁵.

⁵ Ibidem, część 2: 1935–1938, s. 16–17. Kolejne cytaty lokalizowane w tekście.

A 2 stycznia 1936 roku zapisuje: „Wczoraj za zezwoleniem Bogusława przyszedł na krótką wizytę Schulz. Jest mały, cichy i delikatny, ma się żenić” (s. 83).

Odtąd tu i ówdzie rozsiane są krótkie wzmianki o Schulzu: 24 stycznia 1936 roku wspomniana jest wizyta Schulza; 7 lutego – wizyta Berlewiego, Pietrzaka, Schulza i Gombrowicza; 16 lipca – Gombrowicza, Schulza i Natansona.

8 lutego 1939 roku, po prawie trzyletnim milczeniu o Schulzu, w dzienniku odnotowuje z oburzeniem napaść Kazimierza Wyki i Stefana Napierskiego w „Ateneum” (1939, nr 1), gdzie odsądzono – i to obelżywie – twórczość Schulza od jakichkolwiek liczących się w literaturze wartości. Napaść tę „uczuję też – dodaje Nałkowska – jako zły bardzo symptomat” (s. 387).

19 kwietnia 1939 roku wspomina pisarka, że Schulz przysłał jej poprzedniego dnia recenzję *Niecierpliwych*, którą wysłał do „Wiadomości Literackich”. Recenzja ta, zatytułowana *Zofia Nałkowska na tle swej nowej powieści*, ukazała się zresztą w „Skamandrze” (1939, nr 108–110).

W czerwcu 1939 roku w dziennikowych zapisach pojawiają się trzy wzmianki o spotkaniach z Schulzem w Truskawcu. Ostatnia z nich – obszerniejsza – brzmi następująco: „I doskonale rozmowy z Brunonem Schulzem. – W pięknej najdalszej części parku, dzikiej i łąkowej, jak parki londyńskie, na ławce gorącej od słońca słuchałam tego tekstu, pełnego słuszności, a ponadto wszelkiej myślowej finezji. [...] Zdziwiająca wizyta u Schulza w Drohobycz, wreszcie wycieczka do Borysławia [...]” (s. 417–418).

W notatce pisanej w Adamowiznie 6 sierpnia 1939 roku czytamy: „Schulz przysłał mi ten artykuł o krytyce, którego początek czytał mi tam” (s. 423). Artykuł ten, o którym dowiadujemy się dopiero z *Dzienników* Nałkowskiej, to jeszcze jedna z licznych prac pisarza zaginionych bez śladu.

Na kartach *Dzienników* z lat wojny i okupacji powraca Schulz dopiero 27 stycznia 1943 roku, zapewne tuż po nadejściu wiado-

mości o jego tragicznej śmierci w Drohobyczu: „Dziwiłam się innym – tak umęczona ich losem, zawsze gotowa podstawić siebie w węzeł ich niezmiernego cierpienia. «Los bezsensowny» – w tym liście ostatnim! I tego już nie ma, kto to mówił (Bruno Schulz). Jak to zrozumieć, jak to wytrzymać”⁶.

I jeszcze jedno przypomnienie, w związku z przeprowadzkowym wertowaniem papierów, przeglądem całozyciowych pamiątek. Notatka z 20 czerwca 1943 roku: „Jeszcze raz przecież przeprowadzam tę likwidację, by zmieścić całą siebie na sześciu metrach kwadratowych podłogi, jeszcze raz przewracam i przetrząsam ten dorobek mej biografii do samego dna [...]. Są tam też dawne listy Edmunda Szalita, Licińskiego, Gorzechowskiego, Kuczyńskiego, Brunona Schulza – tego właśnie, ostatnio zmarłego, szczególnie piękne” (s. 456).

Dziewiątego dnia powstania warszawskiego, 9 sierpnia 1944 roku, przebywając poza zasięgiem ognia i walk, ogląda Nałkowska z Adamowizny kłęby dymu nad płonąca Warszawą i notuje: „przemyka błaha myśl [...] o tym małym, tak uporządkowanym muzeum całego życia”. I zaraz w pierwszych słowach, wyliczających część tego, co właśnie trawi ogień w Warszawie, na pierwszym miejscu tej listy strat wymienia: „Cudne listy Schulza i jego litografie [...]” (s. 590).

Tyle komentarzy do listów nieistniejących. Te, które przetrwały, mają swoje objaśnienia w przypisach do *Księgi listów*, są tam również uwagi o bezowocnych poszukiwaniach „listów ukrytych”, na przykład do Marii Chazen. Ostatnie epistoły, pochodzące już z przedednia tragicznej śmierci pisarza, nie ośmielają się na żadną – powierzoną poczcie – aluzję, najwyżej na westchnienie: „Nie

6 Eadem, *Dzienniki V: 1939–1944*, oprac., wstęp i komentarz H. Kirchner, Warszawa 1996, s. 425. Kolejne cytaty lokalizowane są bezpośrednio w tekście.

robię teraz nic, kontempluję «bogactwo wewnętrzne», moje lamusy i zbiory zebrane w życiu. Czy to wolno?» (list nr 141)...

Te „lamusy i zbiory” – poza ich postacią niematerialną – to były właśnie owe rysunki, utwory jego pióra i listy, które usiłował zabezpieczyć przed zagładą.